



W NUMERZE

TEMATY TYGODNIA

- 10 Marta Mazuś
Agnieszka Sowa
Brytyjscy Polacy
- 14 Piotr Pytlakowski
Prawo na zawołanie
- 16 Jerzy Baczyński
Dzieci prawdziwie resortowe
- 19 Joanna Solska
Patriotyczna odzież

POLITYKA

- 22 Wojciech Szacki
Kidawa-Błońska – nowa twarz Tuska
- 24 Marek Henzler
Radni zaradni za pieniądze samorządu
- 27 Cezary Michalski
**OGLĄD I POGLĄD
Dlaczego polska lewica jest i będzie nieduża**

SPOŁECZEŃSTWO

- 30 Piotr Pytlakowski
Trynkiewicz zastąpił matkę Madzi
- 32 Elżbieta Turlej
Narodowcy chowają Wyklętych

ROZMOWA ŻAKOWSKIEGO

- 34 Prof. William L. Yarber
o seksie idealnym i realnym

EDUKATOR EKONOMICZNY

- 38 Cezary Kowanda
Kryzysowi ozdrowieńcy
- 40 Cezary Kowanda
Jak nie tracić pieniędzy na bankowe opłaty
- 42 Maciej Radwan
Uwaga na cyberprzestępców

ŚWIAT

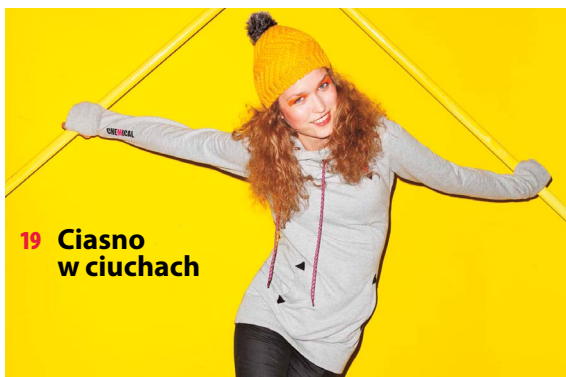
- 44 Jędrzej Winiecki
CHINY Zła żywność szkodzi partii
- 47 Łukasz Wójcik
IRLANDIA Enda Kenny – europejski konkurent Tuska
- 50 Tomasz Walat
SZWECJA Koniec neutralności?

HISTORIA

- 52 Andrzej Krajewski
Getta ławkowe w przedwojennej Polsce



70 Laureaci Paszportów 2013



19 Ciasno w ciuchach



34 Seksedukacja: jak „to” robić i jak o „tym” rozmawiać



92, 96 Jan Bijak – człowiek POLITYKI
wspominamy zmarłego
byłego redaktora naczelnego

55 Marian Turski
Opowieści Bartoszewskiego

NAUKA

- 56 Agnieszka Krzemińska
Filozofia na wygnaniu
- 59 Rozmowa z dr. Alfonso Mañasem Bastidą
o walkach gladiatorów
- 62 TECHNO ECHO
- 64 Paweł Walewski
Triumfalny powrót elektrowstrząsów

PASZPORTY POLITYKI 2013

70 Ogłaszamy laureatów 21 edycji nagrody

KULTURA

- 74 Wojciech Smarzowski
o życiu, piciu i swoim najnowszym filmie
- 78 Mirosław Pęczak
Zrozumieć Niemena
- 80 Mariusz Herma
Muzyka poważna na playliście
- 83 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński

LUDZIE I STYLE

- 84 Marcin Piątek
Bracia Boralowie – mistrzowie pamięci
- 87 Barbara Stolarz
Blogi z kuchni
- 90 Marcin Kołodziejczyk
Miganie zaangażowane

WSPOMNIENIE

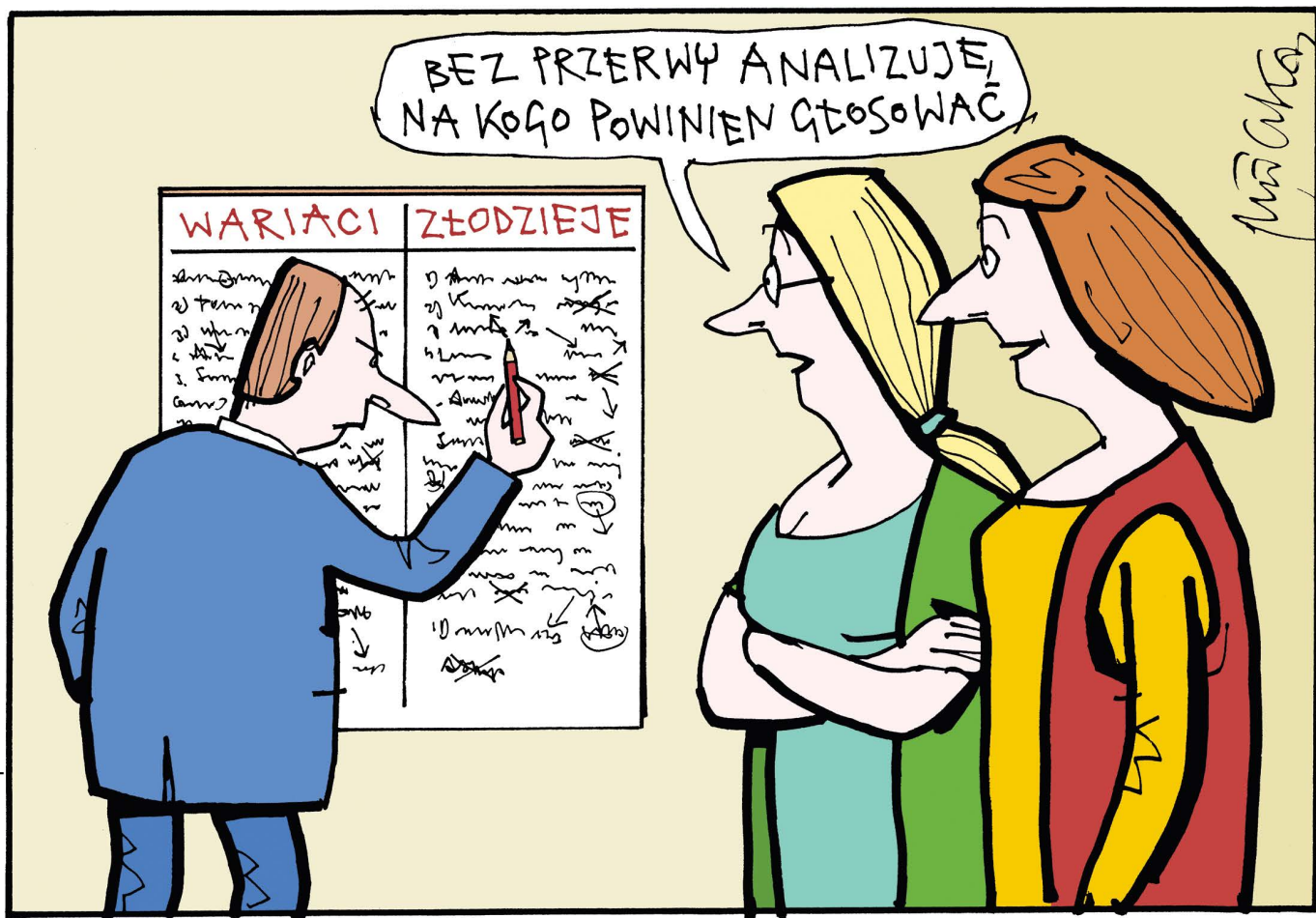
92 Jan Bijak – reporter, redaktor, przyjaciel

NA WŁASNE OCZY

- 100 Tekst i fotografie
Michał Książek
Życie i śmierć na Zabajkalu

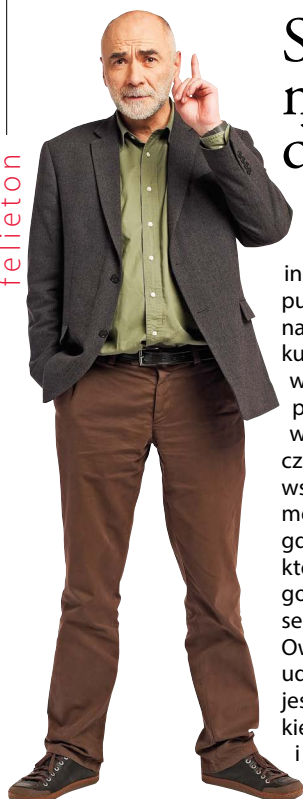
STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 66 Afisz
- 94 Passent • 96 Stomma
- 97 Tym • 98 Fusy
- 99 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Siewca mrocznego dobra

Jak co roku na początku stycznia z zainteresowaniem śledzę inicjowaną przez prawicowych publicystów dyskusję o tym, kim naprawdę jest Jerzy Owsiak. Dyskusję potrzebną tym bardziej, że w grę wchodzi przecież nasze pieniądze, które – jak co roku – nie wiadomo, czy Owsiakowi dawać, czy nie dawać. Od lat panuje rozpowszechniane przez mainstreamowe media przekonanie, żeby dawać, gdyż Owsiak to dobry człowiek, ktoś w rodzaju świeckiego świętego, który służy ludziom. Tymczasem zdaniem publicystów, którzy Owsiaka przejrżeli, on tylko zręcznie udaje dobrego, a tak naprawdę jest megalomanem, lewackim bożkiem, synem milicjanta, chamidłem i zwolennikiem Tuska. A także, jak przekonuje Łukasz Warzecha

na łamach „Rzeczpospolitej”, „dyżurnym autorytetem” na usługach PO i człowiekiem „konsekwentnie przemieszczającym się ku wizerunkowi agresywnego egotyka”.

Czy komuś tak agresywnemu i bezprawnie podszywającemu się pod świętego należy dawać pieniądze? Osobiście, podobnie jak Warzecha, uważam, że nie należy, zwłaszcza że nie wiadomo, komu służy mroczne dobro wyrządzane przez agresywne autorytety takie jak Owsiak. I czy dobro to jest na pewno dobrem słusznym, o które nam, Polakom, powinno chodzić? Zdaniem Warzechy akcję WOŚP można by ostatecznie wesprzeć, gdyby osobę Owsiaka udało się od tej akcji oddzielić, tzn. żeby akcja była, ale żeby nie było Owsia. Niestety, jak sam przyznaje, osoba Owsia jest tak pazerna na medialny rozgłos oraz zbierane przez siebie pieniądze, że oderwać się od swojej akcji nie da, i wszystko wskazuje na to, że akcja nadal będzie się kręciła wokół tej osoby,

zresztą przy znaczącej i niczym nieusprawiedliwionej pomocy państwowych instytucji oraz mediów publicznych.

Czy zatem działającemu pod płaszczykiem świętości Owsiakowi należy czynienia kontrowersyjnego dobra zabronić? Zdaniem Warzechy nie, niech działa dalej, oczywiście pod warunkiem, że nie będą mu pomagały żadne instytucje oraz publiczne media. „Niech pokaże, co sam potrafi”, proponuje publicysta, chociaż boję się, że jest to propozycja ryzykowna, która Owsia tylko rozdrażni. Bo jeśli urzędy i instytucje odmówią mu pomocy, Owsiak może się stać jeszcze bardziej agresywny i zacząć jeszcze konsekwentniej „przemieszczać się ku wizerunkowi egotyka”, a przecież nie o to chodzi. Uważam, że w tej sytuacji może lepiej Owsia nie drażnić, nie strugać bohatera, ale dla świętego spokoju cierpliwie wspierać go w nadziei, że w końcu mu się ta cała dobroczynność znudzi.



RYNECZEK
Lidla

PO PROSTU ŚWIEŻO

*Zapraszamy na świeże
owoce i warzywa w Lidlu!*

Po przepisy z owoców i warzyw wejdź na www.kuchnialidla.pl

[Kup książkę](#)

Znów ten Thaksin

W politycznie podzielonej Tajlandii opozycja ogłosiła blokadę Bangkoku. Od 13 stycznia przeciwnicy rządu barykadują się na głównych skrzyżowaniach i ulicach stolicy. Liderzy protestu zapowiadają, że nie ruszą się z miejsca, dopóki obecna szefowa rządu Yingluck Shinawatra nie zrezygnuje z urzędu. Manifestacje z udziałem dziesiątek tysięcy osób trwają od końca listopada w zasadzie nieprzerwanie, a jedyną krótką pauzą były grudniowe obchody urodzin powszechnie szanowanego 84-letniego króla Bhumibola Adulyadeja. I jak to w tajlandzkiej polityce ostatnich lat bywa, przyczyną niezadowolenia jest przede wszystkim Thaksin Shinawatra, czyli w jednej osobie były policjant, jeden z najbogatszych Tajów, były właściciel klubu piłkarskiego Manchester City, uwodzący efektownymi obietnicami populistą, brat obecnej szefowej rządu, sam dwukrotnie były premier (raz odsunięty od władzy przez armię) i dziś emigrant z wyrokiem za korupcję. Oburzonych na ulicę wyprowadził rządowy pomysł ustawy amnestyjnej, dzięki której Thaksin mógłby wrócić do kraju i do polityki. Opozycja popierana przez miejską klasę średnią oskarża panią premier o bycie marionetką w rękach brata i psucie demokracji, ale nie chce słyszeć o przyspieszonych wyborach. A te szefowa rządu (której głosy prowincji zapewniają wygraną) wyznaczyła już na 2 lutego. W związku z dużą popularnością rodziny Shinawatrów opozycja wolałaby dwuletni okres bez wyborów, kiedy rządziłaby pochodząca z nominacji rada, która przy okazji na nowo wymyśliłaby tajlandzki ustrój polityczny, oczywiście z zachowaniem monarchii. Na razie protesty pozostają w miarę pokojowe i zniechęcają głównie turystów. W Tajlandii co roku wypoczywa 20 mln osób, ale liczba ta może znacząco stopnieć, jeśli znów, jak w 2008 i 2010 r., wybuchną krwawe zamieszki. Gdyby do nich doszło, o biegu wypadków zdecydują tradycyjni tajlandzcy arbitrzy: król oraz wojsko specjalizujące się w puczach i zamachach stanu.



Szaron wieloznaczny

Gdyby nie presja synów, sprzeciwiających się odłączeniu pogrążonego w śpiączce Ariela Szarona od aparatury, która od ośmiu lat utrzymywała go przy życiu, publiczną debatę dotyczącą tego najbardziej kontrowersyjnego i najbardziej pragmatycznego izraelskiego polityka mielibyśmy już za sobą. Rozpocznie się teraz, po śmierci w sobotni poranek. A jest się o co spierać. Jaki miał wpływ na wydarzenia, które kształtowały rzeczywistość tego rejonu Bliskiego Wschodu, jak posiadał klucz, którym otwierał serca także zdeklarowanych przeciwników? Wydaje się, że cały sekret tkwi w pragmatyzmie jego postępowania, w czymś, co wyniosło go ponad tradycyjne pojęcia dobra i zła. Liczył się tylko wynik. Jako generał dwukrotnie zlekceważył rozkazy przełożonych i dwukrotnie, pokonując



wojska egipskie, zdobył poklask opinii publicznej. Taktyka, która umożliwiła zwycięstwo podczas walk w rejonie Abu Agela na Synaju w czasie wojny sześciodniowej (1967 r.), nauczana jest dzisiaj w większości akademii wojskowych na świecie, a stojące

na bakier z założeniami Sztabu Generalnego przekroczenie Kanału Sueskiego w 1973 r. przyniosło mu sławę wybitnego stratega.

Urodził się w lutym 1928 r. we wsi Malal w okolicy Tel Awiwu jako Arik Schneiderman, syn imigrantów z Polski, był przede wszystkim żołnierzem, a potem politykiem – czy też odwrotnie. Ten sam człowiek, który zlikwidował żydowskie osadnictwo w Strefie Gazy, popierał rozbudowę osiedli na Zachodnim Brzegu. Jako przywódca opozycji sprowokował Palestyńczyków, którzy na jego ostentacyjną wizytę na jerozolimskim Świątynnym Wzgórzu odpowiedzieli intifadą. Jako premier w pewnym okresie kategorycznie odrzucał myśl o powrocie do granic sprzed 1967 r., w innym już nie wykluczał takiej możliwości. Izraelski dziennik „Ha’aretz” pisał niedawno, że jeśli Benjamin Netanjahu zapłaci za pokój zgodą na powstanie Palestyny w granicach proponowanych przez Johna Kerry’ego, nie będzie to nic innego, jak kontynuacja polityki Szarona.

Anglosaski skandal w Paryżu



Plotkarski magazyn „Closer” ujawnił, że prezydent **François Hollande** potajemnie spotyka się z aktorką **Julie Gayet**, mimo że jest w nieformalnym związku z dziennikarką Valerie Trierweiler. I co z tego? – zdają się pytać Francuzi. Według sondażu agencji IFOP 77 proc. z nich uważa, że to prywatna sprawa Hollande’a, 84 proc. twierdzi, że romans nie będzie miał wpływu na ich ocenę prezydentury. Jeszcze 20 lat temu ta historia nie wyszłaby na jaw – nie tylko z powodu republikańskiej zasady prywatności. Tu do przełomu doszło w 1994 r., gdy „Paris Match” opublikował zdjęcia „pozamałżeńskie” córki François Mitterranda (za jego zgodą). Tamę stawia również drastyczne prawo, które może doprowadzić do bankruc-

twa każdego wydawcę. Może, ale nie musi – w zeszłym roku „Closer” dostał karę 30 tys. euro za opublikowanie zdjęć byłej żony Hollande’a w bikini, co odebrał sobie dzięki zwyczajnie sprzedaży. Numer z nowym romansem prezydenta rozszedł się do ostatniego egzemplarza, mimo podwójnego nakładu. „Le Monde” pisze o „anglosaskim skandalu”, który przeszedłby ledwo odnotowany, gdyby nie presja brytyjskich tabloidów. Ale winni są również dzisiejsi politycy. Mitterrand czy Jacques Chirac nie dali się przyłapać. Co innego Nicolas Sarkozy, zmieniający małżonki w trakcie prezydentury, czy Hollande, sfotografowany w kasku na skuterze w drodze do pięknej Julie. Francuzów to oczywiście nie interesuje, ale chętnie przeczytają.

W Chinach wolno będzie grać

Zmiany, zmiany, zmiany. Obok tych społecznie newralgicznych, pod nowym chińskim kierownictwem na najwyższym szczeblu, jak złagodzenie polityki jednego dziecka (teraz można będzie mieć drugie, jeśli jedno z małżonków jest jedynakiem) czy likwidacja reedukacyjnych obozów pracy (gdzie trafiało się bez wyroku sądu), są i skromniejsze, niemniej symboliczne. Na przykład bez zbędnych tłumaczeń zniesiono właśnie obowiązujący od 2000 r. zakaz importu konsoli do gier komputerowych i samych gier. Wtedy, zabraniając, przywoływano kwestie szkodliwości dla zdrowia psychicznego, teraz mowa jest o „czasowym eksperymencie w duchu reform i otwarcia”. Sprzęt będzie można produkować w nowo utworzonej specjalnej strefie w Szanghaju, czym zwiększy się jej atrakcyjność i znaczenie. Microsoft, Sony i Nintendo, główni światowi gracze na tym rynku, już zacierają ręce. Choć czeka ich ostra walka konkurencyjna z czarnym rynkiem miejscowych gier i konsoli ocenianym na 13 mld dol. A więc przy okazji normalizuje się kolejną strefę rynkowego dwójmyślenia. Taką to metodą.

O problemie nowego kierownictwa z chińską żywnością piszemy na s. 44.



Grubasy z biedy

Olbrzymia większość grubasów mieszka dziś w krajach rozwijających się, głosi opublikowany właśnie raport brytyjskiego Overseas Development Institute. Z 1,46 mld dorosłych mieszkańców planety cierpiących na otyłość lub mających nadwagę (otyłość zaczyna się, gdy wskaźnik masy ciała BMI przekracza 30, a nadwaga – gdy 25) 904 mln mieszka w krajach na dorobku. W ciągu 30 lat przybyło ich czterokrotnie, a to dopiero skromny początek.

To bulwersujący paradoks: wiele z tych osób – w Chinach, Indiach, Brazylii, Meksyku i innych miejscach – jeszcze niedawno cierpiało na niedożywienie. Ale kiedy już było ich stać, zaczęli nadrobić zaległości, konsumując w nadmiarze „złe kalorie”. Dobrym przykładem jest Meksyk, który we współczynniku otyłości liczonym przez FAO (32,8 proc.) pobił Stany Zjednoczone (31,8), co jest dużą sztuką. Zawiniła głównie nowa dieta: zamiast kukurydzy, ryżu i fasoli bogate w tłuszcze i węglowodany pożywienie à la Gringos. Do tego lepiące się od cukru napoje gazowane. Statystyczny Meksykanin wypija ich 163 litry rocznie. Na rezultaty, tu i gdzie indziej, nie przyszło długo czekać, a w zgodnej opinii ekspertów to tykająca bomba i szybko narastający problem społeczny. A także słony rachunek dla służby zdrowia, która nie jest przygotowana na takich pacjentów i ten typ chorób. Równolegle więc, jak w Meksyku i w Indiach, wdraża się dwa programy: wsparcia niedożywionych i ograniczenia apetytu u przekarmionych. Często zresztą należą dziś do tych samych rodzin czy środowisk. Przenieśli się ze wsi do miast, mają mniej ruchu, trochę zasobniejszą kieszeń – i ulegają najgorszym wzorcom z sytego świata.



Rowery w chmurach

W centrum Londynu jazda rowerem po ulicach nie jest bezpieczna, a na ścieżki rowerowe nie ma miejsca. Powstał plan, by wybudować sze-rokie na 15 m ścieżki rowerowe biegnące nad torami kolejowymi. Mogłoby powstać aż 220 km takich tras w mieście, po których rowerzyści jeździliby bezkolizyjnie: bez czerwonych świateł. Sam plan, zaprezentowany dwa lata temu, traktowano jako mrzonkę, póki, właśnie teraz, nie wsparła go gwiazda brytyjskiej architektury znana i w Polsce – sir Norman Foster. Burmistrz Londynu Boris Johnson, który sam chętnie jeździ rowerem, zapowiada prace projektowe nad pierwszą linią – ze Stratfordu, dawnego parku olimpijskiego, do stacji Liverpool w centrum. Koszt przedsięwzięcia jest ogromny – liczony w miliardach funtów, toteż chodzi raczej o projekt rozłożony na wiele lat. Zakłada się skonstruowanie specjalnej maszyny wznoszącej platformy bez tamowania ruchu kolejowego.

Rząd rozrusza



Joanna Solska

Najgorsze mamy za sobą – zakomunikował premier Donald Tusk. Teraz ma być już tylko lepiej. Przede wszystkim przybędzie pracy, a umowy „śmieciowe” staną się nieco mniej śmieciowe. Poprawę koniunktury odczuwamy w naszych domowych portfelach, nie tylko w mitycznych wskaźnikach PKB, z którymi raczej trudno się identyfikować. Premier widzi, że rynek bez pomocy państwa z kryzysem sobie nie radzi. Bez dosypywania publicznych pieniędzy się nie ożywia. Tusk nie jest w tej konstatacji odosobniony, świat też zmienił recepty.

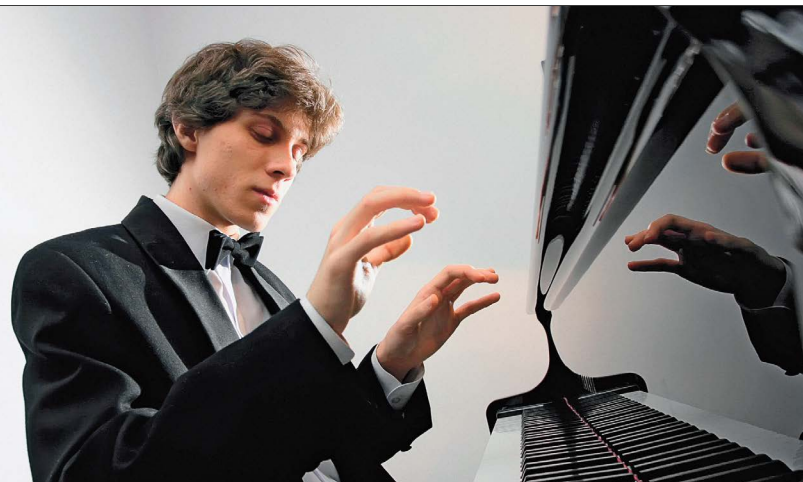
To państwo ma więc poprawić koniunkturę. Doda unijnych pieniędzy na rozgrzebane odcinki autostrad i szlaki kolejowe. Pojawi się na nich więcej wykonawców, robota ruszy znowu. W tym roku

pojedyncze odcinki mają wreszcie zacząć się ze sobą łączyć. Rozpocznie też kilka kolejnych, wielkich budów kapitalizmu – takich jak rozbudowa elektrowni Opolo i Kozienice. Prywatne firmy, które staną się generalnymi wykonawcami tych ogromnych publicznych zamówień, będą potrzebowały mnóstwa podwykonawców. A ci – ludzie do pracy. Bezrobocie powinno więc zacząć maleć.

Rząd wreszcie wyciąga też wnioski z wielkiej klapy poprzednich lat. Z tego, że za miliardy państwowych złotych zdewastowano rynek pracy. Zepchnięto wielu ludzi do szarej strefy, a wiele firm splajtowało. Bo państwo, wybierając wykonawców, np. autostrad, jedynie według kryterium najniższej ceny, nie dostrzegło, że firmy budowlane – aby móc ją oferować – zatrudniały ludzi na czarno. W najlepszym razie – na śmieciówki. Zamiast wykwalifikowanej kadry pracowników na placach budowy pojawiło się pospolite ruszenie. Zawalane były terminy. Niska cena okazywała się fikcją. Teraz ma się to zmienić. Wykonawcy muszą tak kalkulować cenę, żeby się w niej zmieściły co najmniej legalne płace minimalne. Tak, będzie ona wtedy wyższa, ale – realna. To postulat związkowców, ale także pracodawców.

Z„ozusowaniem” śmieciówek sprawa jest już nieco mniej oczywista. Przede wszystkim dla samych zainteresowanych. Do tej pory składki odprowadzano tylko od pierwszej (z tego właśnie powodu najniższej) umowy zlecenia. Kolejne były już bezskładkowe, na indywidualne emerytalne konto pracownika nie wpływało nic. Teraz ma wpływać od każdego zlecenia co najmniej tyle, ile od płacy minimalnej. Jeśli te pieniądze wyłożą pracodawcy (w co wątpię), pracownicy i ZUS będą się tylko cieszyć. Minister Władysław Kosiniak-Kamysz liczy nawet na 650 mln zł rocznie, co wydaje się dość wątpliwe. Jeśli jednak pracodawca odliczy te pieniądze od tego, co do tej pory pracownik dostawał na rękę – jego realne wynagrodzenie się obniży. Niekoniecznie zrekomensuje je radość, że za to więcej uzbiera na emeryturę.

Po kilku latach kryzysu mocno stopniało grono tych, którzy uważają, że gospodarka poradzi sobie bez państwa. Ale wyłonił się problem, czy nasze państwo jest wystarczająco sprawne, żeby poradzić sobie z inwestowaniem? Do tej pory z tym raczej było słabo, ale nie można wykluczyć, że rząd jednak uczy się na własnych błędach.



© TADEUSZ POŹNIAK

Stuletni cichociemny

Gen. Stefan Bałuk

Genie urodził się w Polsce, bo Polski wtedy nie było. Był 15 stycznia 1914 r. Tego nie zapamiętał. Ale drugą wojnę światową ma w małym palcu. I sporym pudełku z negatywami. We wrześniu 1939 r. Warszawę opuścił z małym tobołkiem i aparatem fotograficznym. Zawędrował aż do Londynu. Chłopak, którego jeszcze kilka lat wcześniej nie chcieli przyjąć do wojska ze względu na zbyt delikatne zdrowie, trafił na kurs cichociemnych. Nad Polskę leciał trzy razy. Skoczyć udało mu się dopiero 9 kwietnia 1944 r. Walczył z aparatem w rękę: podrabiał dokumenty, fotografował niemieckie umocnienia, robił fotokopie dokumentów. Za udział w powstaniu warszawskim Virtuti Militari osobiście wręczał mu gen. Bór-Komorowski.

Teraz czeka go kolejne zadanie – zdmuchnąć 100 świeczek na torcie. Uroczystość odbędzie się wśród najbliższych. – *Mąż nie znosi żadnych objawów słabości. A że nie czuje się najlepiej, to nie chce się nikomu pokazywać* – mówi żona Danuta Bałuk. Pod oknem generała Bałuka „200 lat” odśpiewać mieli żołnierze GROM, którzy kontynuują tradycję cichociemnych, ale ze względu na stan zdrowia jubilata i to odwołano. (JUL)



Tajna wygrana Blechacza

Przyznanie Nagrody im. Gilmore’a, zwanej pianistycznym Noblem, której drugim polskim zdobywcą, po Piotrze Anderszewskim w 2002 r., został właśnie Rafał Blechacz (przypomnijmy przy okazji, że obaj pianiści są też laureatami Paszportów POLITYKI), jest szczególnym zaszczytem. Artysta nieświadomie bowiem uczestniczył w konkursie, o którym wiedziało tylko grono jurorów, przez cztery lata (bo z takimi odstępami przyznawany jest ów honor) śledzące najrozmaitsze pianistyczne występy. Jak podkreśla Daniel Austin, szef Festiwalu Pianistycznego im. Gilmore’a w Kalamazoo (Michigan), ten konkurs nie ma przegranych, ma tylko zwycięzcę. Nie jest to ściśle, bo przecież obserwowanych jest wielu pianistów, jednak żaden z jurorów nie ujawni ich nazwisk – do tego jest zobowiązany regulaminem. Nagroda i festiwal zostały ustanowione w 1989 r. po śmierci Irvinga S. Gilmore’a, miejscowego biznesmena, filantropa i wielbiciela muzyki fortepianowej, przez fundację jego imienia.

W okopach i w ofensywie

Problem pijanych kierowców mamy jako tako załatwiony, przynajmniej werbalnie. Wszyscy są za ostrym karaniem, a największym mięczakiem okazał się znów rząd, który wprowadzić chce alkomatów w każdym samochodzie, ale na karę śmierci (postulat posła Hofmana z PiS, przywróconego właśnie na stanowisko rzecznika partii) jednak się nie zgodził. Podobnie jak na konfiskatę samochodów, co jest postulatem szeryfa Ziobry. Okazało się jednak, że jest to pomysł ściągnięty z zagranicy i to tej, na której nie wypada się wzorować, zwłaszcza w towarzystwie demokratycznym i niepodległościowym. Otóż dotarła do Polski informacja, że na Białorusi pijanemu kierowcy skonfiskowano traktor, którym się nieśładnie poruszał. W dodatku czynił to nie po raz pierwszy, był więc recydywistą. Już wiemy, skąd prawica ściąga swoje pomysły. Jak nie Orbán, co jeszcze ująć może, to Łukaszenka.

Ponieważ życie, zwłaszcza polityczne, próżni nie znosi, ledwie z pierwszego planu zniknęli pijani kierowcy, ich miejsce zaczął zajmować gender. Z genderem jest ten kłopot (a może to zaleta?), że o ile poziom alkoholu można dokładnie zmierzyć, o tyle z genderem ten numer nie wychodzi. Każdy więc może pleść, co chce, do rzeczy i od rzeczy. Mamy więc ostrzegające (ale też piętnujące – że to nazizm i maoizm) wypowiedzi hierarchów oraz różnych ideologów o poszukiwaniu przykładów deprawacji dzieci, a po drugiej stronie wyjaśnienia, że rzecz nie jest ideologiczna, ale naukowa i że w praktyce chodzi o zwykłe równouprawnienie. Okopy już mamy i trwa ostrzeliwanie. Powstał zespół parlamentarny „Stop ideologii gender” pod przywództwem bojowej Beaty Kempy. Zapisał się tam na razie cały klub Solidarnej Polski, co nie dziwi – to rozpaczliwa próba zaistnienia przy pomocy Kościoła. Może przynajmniej część duchowieństwa zawoła przed wyborami, że SP lepiej niż ktokolwiek inny reprezentuje interesy Polaków katolików. Jacek Żakowski ubolewał w radiu, że inne partie nie zrobiły desantu na ten zespół, aby rozpocząć dyskusję o gender, bo taką poważną debatę powinniśmy w Polsce odbyć. Wiele poważnych dyskusji powinniśmy odbyć, ale najwyraźniej redaktor Żakowski dawno nie śledził obrad różnych sejmowych zespołów. One przecież nie służą do debatowania, ale do pogłębiania politycznych przeciwników.

Na razie zresztą jesteśmy na etapie ustalania, gdzie się ten gender tak naprawdę i w jakiej formie pojawił. Podobno w jednym przedszkolu w Rybniku, jak twierdzi posłanka Kempa. Pełnomocniczka rządu do spraw równego traktowania Agnieszka Kozłowska-Rajewicz szuka ponoć po całej Polsce owych głośnych przykładów deprawacji przedszkolaków i na razie bez efektów. Jeśli ich nie znajdzie, łatwo będzie to zwalić na ogólną nieudolność rządu. „Tusk, co nic nie może” powtarzał przez rok z górą Kaczyński i dziś powtarza to za nim niejeden inteligent, jeszcze niedawno zupełnie platformerski, a dziś niesłychanie sfrustrowany brakiem wizji u Tuska. No to wizję serwuje mu posłanka Kempa – to wizja jakiegoś przedszkola, gdzie nie dość, że przebierano chłopców w sukienki i dawano im do zabawy lalki, to jeszcze musieli, a może tylko jeden musiał, malować komuś paznokcie! Tak czy inaczej poziom „debaty” został wyznaczony.

Czy ogólnie będzie lepiej? Odpowiedź na to pytanie, dla większości Polaków kluczowe, próbuje dać rząd. Premier Donald Tusk najwyraźniej uznał, że spory wewnętrzpartyjne są zamknięte, unijne pieniądze zaklepane, rząd, na ile się dało, zmieniony, resorty się przygotowały i zaczął przedstawiać plany na 2014 r. Bezrobocie



poniżej 13 proc., początek ograniczania umów śmieciowych, bony dla osób szukających pracy w miejscowości innej, niż mieszkają (7,5 tys. zł), skrócenie kolejek do lekarzy, program walki z rakiem, jeden podręcznik za darmo dla pierwszoklasisty, karta dużej rodziny (czyli różne zniżki i udogodnienia dla rodzin minimum 2 plus 3), mieszkania na wynajem budowane z funduszu BGK, modernizacja infrastruktury kolejowej, za rok zeznania podatkowe za podatnika wypełni urząd skarbowy (czytaj też s. 6).

To dopiero początek, bo teraz przychodzi czas prezentacji planów resortowych (minister kultury zapowiada wreszcie finansowanie mediów publicznych ze stałej opłaty) i za kilka dni zobaczymy, w co składa się program rządu na dwa wyborcze lata. Na razie Tusk zdaje się wierny swej polityce – żadnych wielkich wizji, żadnych rewolucji. Po prostu modernizacja, czasem żmudna, czasem nudna, ale stopniowo przynosząca zasadnicze zmiany, teraz nie tylko w infrastrukturze, ale także w codziennym życiu. Te pozytywne zmiany już zresztą widać i nie dostrzega ich głównie Jarosław Kaczyński, który tkwi w Polsce jak w wielkiej dziurze, pełnej biedy i korupcji, bo na tym zdaniem Kaczyńskiego polega „system” Tuska. Szczęśliwie chyli się on ku upadkowi i już wkrótce Polska pod rządami PiS stanie się wolnym państwem wolnych Polaków (cytujać Rymkiewicza, partyjnego wieszczka) – tak właśnie, zapewne trochę w odpowiedzi na program Tuska, oświadczył Kaczyński. Ta płyta już mocno skrzypi.

SLD natomiast przestraszył się i zaczął wołać o komisję śledczą w sprawie tzw. infoafery. Na początek trzeba przesłuchać Sławomira Nowaka – oznajmił rzecznik Dariusz Joński, choć sprawa zaczęła się w MSW, gdzie Nowaka nigdy nie było. Ale na liście do przesłuchań jest też sam Tusk, a Nowak – wiadomo – bliski współpracownik. Wypada mieć nadzieję, że sejmowa większość kolejne wnioski o komisję śledczą odrzuci, choć akurat przedstawiany wspólnie przez Twój Ruch i SLD wniosek o komisję w sprawie działań Macierewicza jako likwidatora WSI mógłby mieć sens. Tyle że żadna komisja śledcza jeszcze niczego nie wyjaśniła, a Macierewicza lepiej zostawić jako kłopot Kaczyńskiemu. Właśnie prezes musiał pozbawić go przywództwa w regionie piotrkowskim. Bo tam też wszystkich ze sobą skłócił.

Jan Koza



© JAN KOZA

Bitwa o datki na dziatki

Polacy mieszkający w Wielkiej Brytanii nie przestraszyli się zapowiedzi premiera Davida Camerona o odebraniu imigrantom prawa do świadczeń na dzieci. Są pewni, że Bruksela ich obroni. Poza tym nie mają czasu na rozważania, bo pracują.

MARTA MAZUŚ, AGNIESZKA SOWA



Na stronie internetowej brytyjskiego odpowiednika ZUS, HM Revenue and Customs, w rozdziale ze wskazówkami dla tych, którzy nie są obywatelami brytyjskimi, a chcą starać się o Child Benefit – świadczenie na dziecko, przykładowa rodzina pochodzi z Polski: Aleksy z żoną i dwójką dzieci. Bo też i dwie trzecie imigrantów w Wielkiej Brytanii dostających ten zasiłek to Polacy.

Gdy dziennik „Daily Mail” pod hasłem „Dokąd idą pieniądze?” opublikował listę 10 państw, których obywatele pracujący w Zjednoczonym Królestwie pobierają wolny od podatku zasiłek na dziecko, na pierwszym miejscu była Polska z ponad 25 tys. dotowanych przez brytyjski budżet dzieci, z czego kilka, może kilkanaście tysięcy żyje – jak się tu mówi – „w ich starym kraju”. Następna w kolejności Irlandia ma aż 10-krotnie mniej dzieci korzystających ze wsparcia brytyjskich podatników. W sumie wszystkich dzieci imigrantów dotowanych zasiłkami jest ok. 40 tysięcy.

Child Benefit to 81 funtów (ok. 400 zł) miesięcznie na pierwsze dziecko i 53 na kolejne. Jeżeli imigrant ma prawo pobytu w Wielkiej Brytanii, pracuje, studiuje lub jest zarejestrowany jako bezrobotny i jest prawnym opiekunem dziecka, może wystąpić o zasiłek.

Jest jeszcze drugie świadczenie, tzw. Child Tax Care (obliczany na podstawie liczby dzieci, przepracowanych przez rodziców tygodniowo godzin i wysokości przychodów rodziny w poprzednim roku podatkowym). W Wielkiej Brytanii nie są to bardzo duże pieniądze, ale niektórym początkującym emigrantom pozwalają przeżyć do pierwszego.

Wielka mniejszość

W skali kraju to już jednak całkiem spore sumy. Prawie 37 mln funtów idzie co roku na Child Benefit, a kolejne niespełna 19 mln na Child Tax Care dla dzieci imigrantów. Wydatki na wszystkie imigracyjne dzieci – te, które są z rodzicami, i te, które do Wielkiej Brytanii nie przyjechały – to ponad 50 mln funtów i taką sumą epatują brytyjskie media. Niespecjalnie przejmują się opiniami ekspertów, że brytyjski skarb państwa wydałby znacznie więcej, gdyby dzieci imigrantów przyjechały do Wielkiej Brytanii, tu chodzili do szkoły, tu się leczyli.

W lutym 2013 r. brukowy „Daily Mail” alarmował: „Imigranci pobierają milion funtów miesięcznie na dzieci, które zostały w ich ojczystych krajach, a tysiące brytyjskich rodzin pozbawia się prawa do zasiłku rodzinnego”. W Wielkiej Brytanii akurat zmieniono zasady przyznawania Child Benefit, pozbawiając tego świadczenia brytyjskie rodziny, w których jedno z rodziców zarabia rocznie więcej niż 60 tys. funtów, i bulwarówki żyły tym jakiś czas.

Poważniejsze media drukowały jednak wyliczenia University College London i London School of Economics, że imigranci płacą do budżetu o 34 proc. więcej, niż z niego otrzymują, a PKB dzięki nim rośnie szybciej, o 0,2 pkt proc. rocznie. A „The Economist” dodawał, że w niektórych lokalnych społecznościach, gdzie osiedlali się przybysze z Europy Wschodniej, przestępczość spadła nawet o jedną trzecią.

Jednak niedawno – ku zgodnemu oburzeniu polskich polityków – premier Wielkiej Brytanii David Cameron wypowiedział się w podobnym tonie jak brukowce. W wywiadzie dla BBC stwierdził, że to niewłaściwe, żeby Brytyjczycy płacili zasiłki na czyjeś dzieci w Polsce. Powody oczywiste i polityczne.

– *Antyeuropejskie nastroje w społeczeństwie, zapowiedź referendum w sprawie dalszego członkostwa Wielkiej Brytanii w Unii i duża obawa przed napływem Rumunów i Bułgarów, dla których od 1 stycznia tego roku Anglia musiała, zgodnie z wymogami unijnymi, otworzyć rynek pracy* – tłumaczy dr Michał Garapich, wykładowca na Uniwersytecie Roehampton w Londynie, który od 2005 r. bada polskich imigrantów w Wielkiej Brytanii. – *A dlaczego mowa akurat o Polakach? Bo skala polskiej imigracji w ciągu ostatnich 10 lat była dla Brytyjczyków ogromnym zaskoczeniem.*

Według szacunków GUS z października 2013 r. Polaków jest w Wielkiej Brytanii przynajmniej 630 tys. Po Hindusach są największą mniejszością na Wyspach, a według ostatniego spisu powszechnego w Anglii i Walii polski stał się najczęściej używanym językiem, zaraz po angielskim i walijskim. Na początku zachwytu nie było, ale była brytyjska uprzejmość.

Po 1 maja 2004 r. na ogólnej fali zdumienia skalą migracji z Polski media prześcigały się w publikowaniu zdjęć wąsatych budowlańców, którzy czasem z żonami i dziećmi, ale jednak częściej sami, z reklamówkami w ręku, stali na dworcu autobusowym Victoria, nie bardzo wiedząc, gdzie by tu znaleźć miejsce do spania. Ale odpytywani przez media Anglicy dziwili się stawkom nowych pracowników, kilka razy niższym od tych proponowanych przez rodzimych fachowców, chwalili punktualność, motywację, sumienność i to, że trzymają w ryzach brytyjską inflację.

Łabędziożery i ofiary

Nowych przybyszów zagadywali – w wspiarskim stylu. Paula i Jacek (w Londynie od 2005 r.) pamiętają, jak niemal przy każdej okazji zaczepiano ich, a to w metrze, a to w kolejce w sklepie – taki *small talk* o pogodzie. Gdy okazywało się, skąd przyjechali, wciąż ktoś stwierdzał: „Och, moja nowa sprzątaczką też jest Polka”.

Lecz z uśmiechem. Wtedy z pracą nie było najmniejszych problemów.

Paula do dziś pracuje w agencji nieruchomości, do której trafiła przez ogłoszenie w bezpłatnej gazecie, Jacek trochę się tułał – budowa, recepcja w hotelu i w końcu też agencja nieruchomości. Mają wynajęte mieszkanie dwa kroki od Tamizy z wiktoriańskim kominkiem i bożonarodzeniowym wieńcem na drzwiach wejściowych. Obojgu udało się dorobić życia w dobrym standardzie, bez polskich problemów z biurokracją, nieuprzejmością w komunikacji miejskiej i umowami śmieciowymi – co zawsze ich zdumiewa, gdy wracają na chwilę.

Jednak wielu – też z wyższym wykształceniem – poprzestało na zmywaku, w nocy koczując w kiluosobowych pokojach, razem z innymi Polakami, bo swojsko i taniej. Dopóki była praca, zasiłki ani ubezpieczenie aż tak ich nie interesowały. Także dlatego, że trzeba by się dowiedzieć, jak je zdobyć.

Bardzo wielu nigdy nie ruszyło się z tego dworca Victoria dalej niż na ławkę parkową, pod most albo do porzuconego auta. Takie grupy, głównie mężczyźni między 35 a 45 rokiem życia, miały codziennie w parku John Downie, brytyjski urzędnik z dzielnicy Hammersmith. To po jego telefonie w 2007 r. w Londynie pojawiła się Barka, polska fundacja z Poznania, która odesłała z Wielkiej Brytanii do Polski ponad 2,5 tys. ludzi. – *Bywało, że niektórych bardzo ciężko było do tego namówić. Problemy z pracą, nadużywanie alkoholu, brak znajomości języka powodowały w wielu przypadkach załamanie oraz nieodwracalne zmiany zdrowotne i psychiczne* – opowiada Agnieszka Baczkiewicz z biura Barki w Londynie. – *Poza tym, najnormalniej w świecie, wstydziło się. Mieli pojechać do lepszego świata i dorobić się, odnieść sukces, wesprzeć rodziny. Mimo to w 2008 r. nasz bus kursował do Polski regularnie, przynajmniej raz w tygodniu.*

Polonię uliczną udało się w końcu ograniczyć, lecz tymczasem przyszedł globalny kryzys gospodarczy. Przystopowała branża budowlana, w której, według oficjalnych statystyk Brytyjskiego Inspektoratu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, Polacy stanowili – i do dzisiaj stanowią – główną grupę pracowników imigrantów. Według danych opracowanych przez serwis POLITYKA INSIGHT pracowali i najczęściej pracują w gastronomii i hotelarstwie (ponad 30 proc.), przemyśle (25 proc.) oraz bankowości i finansach (kilkanaście procent). Każdą z tych branż mocno przetrzebiły oszczędności i redukcje. Jednak wbrew temu, co piszą brytyjskie brukowce, zasiłek dla bezrobotnych (56,8 funta tygodniowo, ok. 250 zł) pobiera niecałe 3 proc. zdolnych do pracy Polaków, czyli mniej niż ►